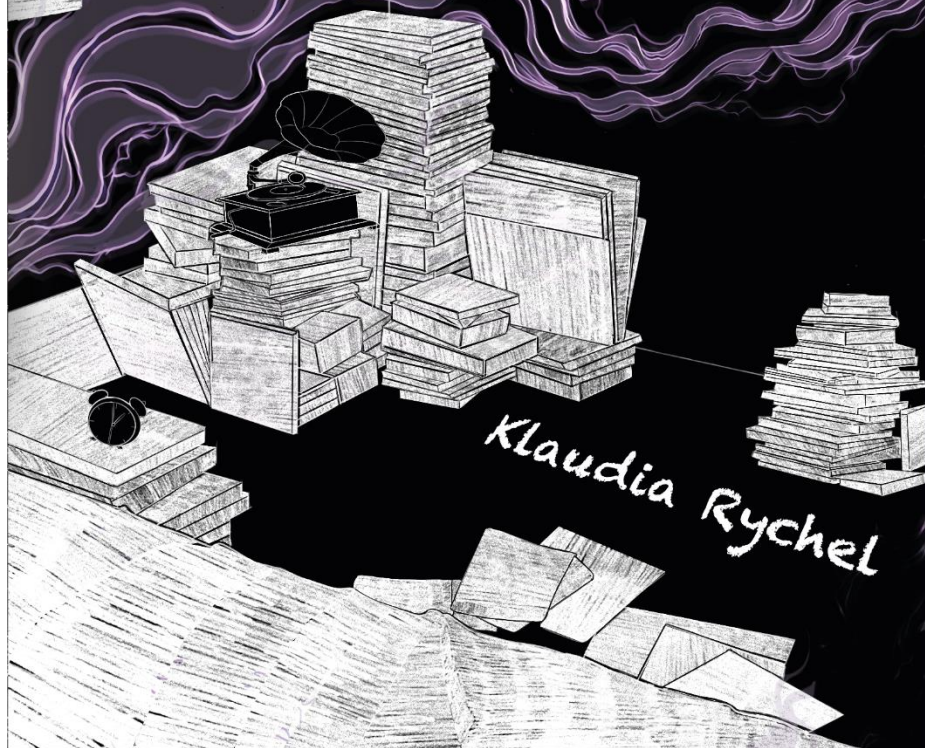


*Pragnienia,
których
nie widzimy*



Klaudia Rychel

Pragnienia, których nie widzimy. Tom 1

Copyright © Klaudia Rychel

Copyright © Excalibur Hearts

Copyright © Wydawnictwo Excalibur

Wydanie I, Wrocław 2025

ISBN: 978-83-973544-5-6

Druk i oprawa: Abedik

Redakcja: Joanna Karyś

Korekta: Patrycja Szura

Skład i łamanie: Piotr Mańturzyk

Ilustracja na okładce: Oliwia Adamska

Opracowanie graficzne okładki: Anna Piotrowicz

Wektory: Anna Piotrowicz

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w Internecie.

All right reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

[instagram.com/klaudiarychel.autorka/](https://www.instagram.com/klaudiarychel.autorka/)

[instagram.com/excalibur_hearts/](https://www.instagram.com/excalibur_hearts/)

[instagram.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.instagram.com/wydawnictwoexcalibur)

www.wydawnictwoexcalibur.pl

[fb.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.facebook.com/wydawnictwoexcalibur)

Spis treści

Prolog.....	4
Rozdział 1 – Stella	9
Rozdział 2 – Aaron	23
Rozdział 3 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 4 – Aaron	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 5 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 6 – Aaron	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 7 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 8 – Aaron	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 9 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 10 – Aaron.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 11 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 12 – Aaron.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 13 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 14 – Aaron.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 15 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 16 – Aaron.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.
Rozdział 17 – Stella	Błąd! Nie zdefiniowano zakłádki.

Prolog

Sierpień, rok 2010

Tereny korporacji New Energy, strefa 14

Stella pamiętała burzę.

Od zawsze słyszeli, że świat na Zewnątrz pożera sam siebie, a zasady są przecież dla ich dobra. Wiedzieli, że powinni być wdzięczni. Spokój, komfort, wspólnota – to trafiło się tylko im. Nikt nie podawał tego w wątpliwość.

Przez kolejne lata Stella robiła to tylko wtedy, kiedy słyszała grzmoty i przypominała sobie *tamtą* burzę. Tę, podczas której zamordowano jej ojca.

Właśnie skończyła bawić się radiem. Użyła go bez nadzoru, czego robić nie powinna, ale pozostali domownicy już spali, a ona złapała stację z Zewnątrz przez całkowity przypadek.

Nie potrafiła stwierdzić, skąd wiedziała, że to sygnał spoza New Energy. Miała tylko jedenaście lat. Natychmiast jednak zrozumiała, że nie powinna tego słyszeć.

Trafiła w sam środek zdania reportera.

– ...co o tej sytuacji sądzi nasz ambasador w Phnompenh George Anderson? George, jako ekspert od spraw międzynarodowych, jak się wypowiesz?

– Cóż, nie ma co owijać w bawełnę, Andy. Moralne hamulce powstrzymują mnie przed zachwalaniem tego morderstwa...

– Morderstwa? Do nas doszły informacje, że Ratankir zmarł na zawał serca...

– Tak, Andy – zakpił George. – Zawał u trzydziestoosmioletniego mężczyzny, który prowadził zdrowy tryb życia, był najważniejszą osobą w kraju i miał dostęp do najlepszej opieki medycznej. Oficjalna wersja rzeczywiście podaje zawał serca, ale obaj wiemy, że takie rzeczy się nie zdarzają.

– Kto mógł zabić najwyższego Khmera?

– Osoba odpowiedzialna za setki tysięcy zgonów i lata zniewolenia z pewnością miała wielu przeciwników, ale nikt wewnątrz nie byłby w stanie tego dokonać. Podejrzewa się, że jest to robota tajemniczego Robina Who.

– Robin Who, nasz międzynarodowy obrońca uciśnionych. – Andy się zaśmiał.

– Tylko on i jego bezimienna organizacja dysponują środkami i metodami, które mogłyby na to pozwolić, dlatego ludzie skłaniają się ku tej teorii – przyznał ugodowo George.

– Jakie będzie miało to konsekwencje dla przyszłości Kambodży i skłóconego regionu tej części Azji?

– Teraz panuje tu chaos. Opozycja wykorzystuje rozchwiany aparat służb Khmerskich, tłumy wyszły na ulicę. Prawdziwa rewolucja, kula śnieżna nie do zatrzymania. Ościenne kraje zaoferowały pomoc, z nadzieją na stabilizację polityczną w regionie oraz znaczną poprawę warunków życia miejscowej ludności. Co, tak na marginesie, również pasuje do zwyczajowego *modus operandi* Robina Who.

– Tak jest! Zabiera bogatym, rozdaje biednym. Oczywiście wszystkim bogatym oprócz siebie samego...

Więcej nie usłyszała. Uświadomiła sobie, jak długo już słucha, wydała z siebie zduszony okrzyk i wyrwała wtyczkę z gniazdka.

Otoczyła ją cisza. Wyglądało na to, że ani audycja, ani jej okrzyk nikogo nie przebudziły. Nawet jej ośmioletni braciszek spał w najlepsze, a był przecież tuż obok.

– Axel – szepnęła, potrząsając jego ramieniem. – Axel, obudź się.

Chłopiec rozchylił powieki i rozejrzał się nieprzytomnie.

– To już rano? – spytał, pocierając powieki.

– Nie – odszepnęła Stella, uśmiechając się lekko. – Znowu zasnąłeś w piwnicy. Musimy iść do łóżek.

Tata wyremontował piwnicę poprzedniego lata i od tego czasu używali jej jako miejsca do zabaw znacznie chętniej niż ich ciasnego pokoiku na piętrze. Nie oferował on tyle wolnej przestrzeni.

Axel skinął głową i ufnie wsunął dłoń w wyciągniętą rękę siostry, pozwalając, aby poprowadziła go w górę schodów.

– Co robiłaś? – zapytał, zerkając na wyrwane z wtyczki radio.

Stella zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nic. Szukałam nowych piosenek i trafiłam na dziwną stację.

Kiedy już leżeli w łóżkach, powtarzała sobie, że nic takiego się nie stało. Mimo to nie mogła zasnąć.

Pół godziny później zaczęło grzmieć. Po pierwszej błyskawicy poczuła, jak jej łóżko ugina się pod ciężarem brata. Oplótł jej ramię, jakby była maskotką, a Stella automatycznie pogłaskała go po rozczochranych blond włosach.

Kiedy minęła kolejna godzina, ktoś zaczął walić do drzwi wejściowych.

Stella usłyszała pospieszne kroki rodziców i ich gorączkowe szepty. Wskoczyła z łóżka i zbiegła na dół bosą. Axel potruchtał za nią, pytając, co się dzieje. Kiedy dotarli do przedpokoj, rodzice byli przy drzwiach, tata w szlafroku, mama w koszuli nocnej.

W progu stał żołnierz.

– Nie rozumiem – powiedział cicho tata.

Żołnierz zmarszczył groźnie brwi. Stella go kojarzyła. Czasem patrolował ich ulicę, a ona zawsze mówiła mu dzień dobry. Raz nawet poczęstował ją cukierkiem.

– Z państwa domu odebrano sygnał radiowy, który nie pochodził od nas – wyjaśnił.
– Musimy wiedzieć, kto ustawił odbiornik w ten sposób.

Tata spojrział na swoje dzieci. Wielkie, przerażone oczy Stelli mówiły same za siebie.

– Ja – powiedział. Zwrócił się znów w stronę gościa. – To byłem ja.

Żołnierz westchnął ciężko i rzucił smutne spojrzenie na ich matkę. Trzymała łokieć męża w zaciśniętych palcach, a ścięgnięta w jej dłoni drżały konwulsyjnie.

– Lars – powiedziała cicho. – Może...

Tata potrząsnął głową.

– Możesz pożegnać się z rodziną, subieckie Lindqvist – oznajmił żołnierz. – Zaczekam na zewnątrz.

Kiedy drzwi się zamknęły, tata przyklęknął przed dziećmi i objął je ramionami.

– Stella, jak to się stało? – zapytał szeptem. Dziewczynka miała wrażenie, że inaczej głos by mu się łamał. – Wiesz, że nie wolno, *lilla gumman*...

– Przepraszam – odparła. – To było niechcący. Tylko się bawiłam.

Nie miała pojęcia, jakie czekają ich konsekwencje, ale lży instynktownie cisnęły jej się do oczu.

– Ale jak to możliwe? – drążył tata. – Te częstotliwości są blokowane, nakłada się na nie zakłócenia...

– Nie wiem – jęknęła. – To nie było specjalnie. Axel też bawił się radiem. Wcześniej.

Chłopiec zmarszczył brwi i spojrzał na siostrę.

– Nie bawiłem się radiem – wyjaśnił. – Naprawiałem je. Było za słabe.

Błysk zrozumienia pojawił się w oczach ojca.

Axel często coś naprawiał. Poprawiał. Ulepszał. Nikt nie podejrzewał, że akurat to może sprowadzić na nich zgubę.

– Co się teraz stanie, tato? – zapytał Axel, który rozumiał jeszcze mniej niż ona. – Dokąd cię zabierają?

Mężczyzna odgarnął chłopcu włosy z czoła.

– Muszę gdzieś pojechać – wyjaśnił. – Nie martwcie się.

Twarz mamy była jak wykuta w kamieniu. Biała i chłodna.

– Bardzo was kocham – szepnął ojciec, całując Stellę w czoło. – Bądźcie grzeczni i... – urwał. – To bardzo ważne, żebyście przestrzegali zasad. Pamiętajcie, że istnieją nie bez powodu. Stella, nie będziesz więcej bawić się radiem? Będziesz uważać?

Skinęła z zapalem głową.

– Obiecujesz, *lilla gumman*? Obiecaj mi.

– Obiecuję, tato.

Przymknął oczy.

Pożegnania trwały, choć Stella nie pamiętała już zbyt wiele.

Pamiętała łzy, choć nikt nie wyjaśnił jej, dlaczego płaczą.

Pamiętała burzę.

Pamiętała, że tata wyszedł z domu i nigdy nie wrócił.

Pamiętała, jak kazano jej myśleć, że nie zniknął na zawsze.

Tydzień później mama oznajmiła im, że tata zginął w wypadku samochodowym.

Axel i Stella wiedzieli, że to nieprawda, że zginął jeszcze tamtej nocy. Już wtedy mama zaczęła go oplakiwać, już wtedy zaczęła kurczyć się w sobie i już wtedy trochę przestała być mamą.

Stella nie bała się burzy przez grzmoty i pioruny. Bała się, bo wtedy najczęściej zaczynała wątpić.

Rozdział 1 – Stella

Czerwiec, rok 2020

Tereny korporacji New Energy, strefa 14

Uwielbiam nosić makijaż.

Nie mamy tutaj ku temu wielu okazji, bo jest to, rzecz jasna, zbytek. Kosmetyki są bardzo kosztowne. Gdybym w zwykły dzień wpadła do pracy umalowana, ludzie stwierdziliby, że jestem próżna lub po prostu stuknięta.

Nie zmienia to faktu, że malowanie się zawsze sprawiało mi przyjemność. Co roku z utęsknieniem wyczekuję Parady, bo to jedna z niewielu okazji, na które wypada nam się stroić.

Wiążę jasne włosy w koński ogon i spoglądam tęsknie na pudełeczko, w którym trzymam tusz do rzęs i róż do policzków. Z pewnością mają jakąś datę ważności, przez co kupowanie ich u nas jest jeszcze głupsze.

Wchodzę po schodach. Gdy miałam szesnaście lat, Axel i ja uznaliśmy, że wspólny, mały pokójek zdecydowanie nie jest wystarczającą przestrzenią dla dwójki nastolatków. Przytargaliśmy moje łóżko do piwnicy i pomalowaliśmy jej ściany na czerwono, co było błędem. Okazało się, że nie powinnam wybierać koloru ścian wyłącznie na podstawie tego, który kolor jest moim ulubionym, bo teraz czuję się, jakbym mieszkała w piekle.

Znajduję przy stole kuchennym brata, który wpatruje się w telefon. Obraca słuchawkę w palcach, a drugą dłonią głaszcze okrągłą tarczę z cyframi.

– Dzień dobry – witam się, choć po jego zamysłonej minie już widzę, że nie doczekam się odpowiedzi.

Na blacie stoi dzbanek kawy zaparzonej przez Axela. Sam jej nie pija, więc fala czułości zalewa mnie mimowolnie. Podziękowałabym mu, gdyby nie fakt, że chyba w ogóle nie odnotował mojej obecności w kuchni.

Siadam przy stole naprzeciwko brata i przeglądam poranną gazetę, czekając, aż coś wyrwie go z zamyślenia. Spędzamy kolejne minuty w ciszy, którą przerywa jedynie moje siorbanie.

– Nie uważasz, że to dziwne? – pyta nagle.

Unoszę wzrok, próbując złapać spojrzenie szarych oczu, tak podobnych do moich.

– Co jest dziwne, Axel? – wzdycham. Po tylu latach powinien się już nauczyć, że nie może po prostu wyrzucać z siebie losowego zdania, zakładając, że ludzie będą z automatu domyślać się, jaki proces myślowy prowadził do danej wypowiedzi.

– Telefon, na przykład.

Mrugam szybko i wydaję z siebie zniecierpliwiony odgłos. Do Axela chyba dociera, że musi powiedzieć trochę więcej.

– Co wiesz o technologii na świecie przed odkryciem xyronu i powstaniem New Energy? – pyta, spoglądając na mnie wyczekująco. Czasem mam wrażenie, że wiecznie czegoś ode mnie wymaga; że próbuje zmusić mój umysł, aby dogonił jego; że nigdy nie zadaje pytań tak po prostu.

– Kompletnie nic, Axel. – Powoli wypuszczam powietrze. – Wiesz o tym.

Kręci głową.

– Wiem, że w szkole uważałaś na wszystkich lekcjach, a to było na historii. Byłaś z niej dobra – upiera się. – Tylko pomyśl. Technologia ciągle się rozwijała, zmieniała. Coraz szybciej. Nieustannie nabierała rozpędu.

– Do czego zmierzasz? – Zerkam na zegarek. – I lepiej się pośpiesz, bo przegapimy śniadanie.

– Zmierzam do tego, że u nas nic się nie zmieniło od lat sześćdziesiątych – mówi. – Kiedy odkryto na naszych terenach xyron, to miał on symbolizować przyszłość. A my mamy przyszłość, która zasila przeszłość. – Patrzy wymownie na telefon. – Jestem ciekaw, czy to powinno wyglądać kuriozalnie.

Skronie zaczynają mi pulsować.

– Axel.

– Nadal używamy tego samego – kontynuuje niezrażony. – A te wszystkie sprzęty na baterie, z których korzystają u ciebie w szpitalu? Sprawdziłem, takich samych używano w Stanach pięćdziesiąt lat temu, tyle że były na prąd. Nawet latarki powinny się rozwinąć.

Mamy samochody zasilane xyronem, ale to nadal takie same samochody. Od pięćdziesięciu lat. Jak to możliwe...

– Axel! – podnoszę głos.

Przenosi na mnie zaskoczone spojrzenie, po czym niewinnie unosi brwi.

Gdzieś w środku jego wywodu oblałam się zimnym potem.

– Czy to dlatego od piętnastu minut gapisz się na telefon? – mamroczę.

Patrzy na urządzenie, jakby zapomniiał, że to właśnie od niego zaczął.

– Och. Po części. Zastanawiałem się, jakim cudem po tylu latach nie posiadamy takich samych, ale bezprzewodowych. A potem jeszcze pomyślałem, że mógłbym coś takiego zbudować. Na baterię. Na xyron.

Marszczę brwi, wyobrażając sobie, że noszę w torebce ten ciężki sprzęt z tarczą na cyfry, a wszystko zaplątuje się w kabel, który łączy ze słuchawką.

– Byłby mniejszy – dodaje, jakby czytał mi w myślach.

Patrzy na mnie uważnie, a ja wiem, że czeka na moją opinię. Cholera wie dlaczego. I tak nigdy mnie nie słucha.

– Mamy krótkofalówki – mówię.

Zawsze nosimy je ze sobą w razie nagłych wypadków.

– Ale nie skontaktujesz się tak z każdym – upiera się. – A telefon...

– Axel, absolutnie nie będziesz spędzał nadchodzących tygodni zamknięty w pokoju, konstruując telefon bezprzewodowy – oznajmiam stanowczo, starając się nie podnosić głosu. Astrid zazwyczaj o tej porze jeszcze śpi. Omija śniadania, twierdząc, że ich nie potrzebuje, a potem podbiera nasze dania błyskawicznie, próbując wytrzymać do obiadu. – To dlatego nie możesz znaleźć pracy.

Patrzy na mnie, urażony.

– Tylko dlatego, że mam wiele pytań...

– Które mogą wywoływać dyskomfort – mamroczę. – Nie pomyślałeś o tym, że owszem, jest lepsza, nowsza technologia, tylko my nie mamy do niej dostępu?

Marszczy brwi.

– Masz na myśli... Na Zewnątrz?

– Co? – Otwieram usta ze zdumieniem. – Nie, skąd! To znaczy, może. Taką, dzięki której mogą się nawzajem szybciej zabijać. Ale nie to miałam na myśli. Sądzę, że u nas też mogą istnieć bardziej zaawansowane sprzęty.

Znów rzucam okiem na zegarek. Jeśli natychmiast nie wyjdziemy, to naprawdę się spóźnimy. Przerzucam torebkę przez ramię i kieruję się do drzwi. Axel zgarnia kluczyki do samochodu i idzie za mną.

– To dlaczego nie mamy do nich dostępu? – pyta, kiedy zajmuję fotel pasażera, a on siada za kierownicą.

Auto odpala cichutko. Podobno najuboższe kraje nadal używają benzyny. Aż ciężko uwierzyć, że ta planeta wciąż istnieje.

– Ponieważ ich nie potrzebujemy – odpowiadam. – Jeśli istnieją, to na pewno są zasilane xyronem, a sam wiesz, jaki jest drogi. Nie mogą nam go po prostu dawać, a nas i tak nie byłoby stać.

Można powiedzieć, że zaliczamy się do klasy średniej, choć w teorii nie powinno być tutaj takich podziałów, skoro wszyscy w New Energy jesteśmy równi. Nikt nie jest naprawdę biedny, ale rodziny ludzi zasiadających w Zarządzie mogą pozwolić sobie na trochę więcej.

– To jak myślisz, kto ich potrzebuje? – drąży Axel. Mijamy identyczne szare domki przy naszej ulicy. – Wojsko?

– Z pewnością. Może lekarze? Dam ci znać za parę lat, gdy skończę kurs.

Na razie pracuję jako sanitariuszka w szpitalu, tak jak większość moich znajomych z kursu, więc teoretycznie i tak widuję całe szpitalne wyposażenie, ale możliwe, że w niektóre rzeczy wtajemnicza się kursantów na dalszych etapach edukacji lub w ogóle po jej ukończeniu.

– A w kopalni? – Axel się nie poddaje. – Na pewno używają najnowszej technologii do wydobywania! Skoro xyron jest najważniejszy, to na pewno nie oszczędzają, chcąc wydobywać go jak najwięcej i jak najszybciej, zgadza się? Wtedy szybciej zarabiają pieniądze. Logiczne. Gdyby Zarząd miał inwestować w rozwój którejkolwiek gałęzi naszego przemysłu, to właśnie tej.

– Pewnie tak – mrużąc ugodowo.

Nie jedziemy daleko. Chwilę później zatrzymujemy się przed ogromnym budynkiem stołówki. Kiedyś był biały, ale od ostatniego malowania minęło trochę czasu, więc dziś wita nas swoją ponurą szarością. Tą samą szarością, która zdobi domy, bloki i nasze ubrania. Mam czasem wrażenie, że wszystko w New Energy jest szare, ale przesadzam. Chodzi o kwestie praktyczne.

– Mogłabyś zapytać Milo? – Axel szuka miejsca parkingowego, nadal drążąc temat.

– Jeśli wolno mu o tym mówić. – Wzdycham. – Możesz też sam go zapytać, wiesz?

Axel unosi brwi w wyrazie zaskoczenia. Nie jest nieśmiały, ale zwykła rozmowa z drugim człowiekiem nigdy nie jest pierwszą rzeczą, która przychodzi mu do głowy, gdy szuka rozwiązania problemu.

– No tak – przyznaje. – Spotkamy go na śniadaniu?

– Chodźmy się dowiedzieć.

Wysiadamy z auta. Przed wejściem do budynku czeka Andrea Bianchi, jedna z koordynatorek stołówki. Zawsze pracują w godzinach podawania posiłków. Notują, ile osób wchodzi i wychodzi, monitorując w ten sposób wypełnienie każdego z dziesięciu pięter. Jestem pewna, że mają również mniej formalne obowiązki, jak raportowanie nazwisk obywateli, którzy omijają podejrzenie dużo posiłków, co może oznaczać, że nie chcą być aktywną częścią społeczności.

– Dzień dobry, subiecki Lindqvist – wita się Andrea, zerkając na nas znad swojej podkładki.

– Dzień dobry, subieckie Bianchi – odpowiadam.

Szturcham Axela łokciem. Szybko mamrocze coś, co może uchodzić za powitanie.

– Powinniście jeszcze złapać miejsca na trzecim i czwartym piętrze – mówi kobieta, wyciągając długopis z czarnego koka. – Czyżby komuś się zasnęło? Nie wiem, czy dostaniecie jeszcze coś ciepłego...

– Odrobinę – przyznaję, bo nie mam ochoty opowiadać, że w rzeczywistości zatrzymał nas mój brat, który miał ochotę podyskutować o tym, jakich wynalazków nam

brakuje, i które mógłby sam zbudować. – Andreo, pamiętasz może, czy Milo Davis już dzisiaj wchodził?

Kobieta uśmiecha się do mnie promiennie i zaczyna żartobliwie wachlować się dłonią.

– Och, oczywiście!

– A przypominasz sobie, na które piętro go posłałaś?

– Trzecie, złotko – mów i mruga do mnie porozumiewawczo. – Smacznego.

Mam wrażenie, że wcale nie ma na myśli jedzenia. Ale Milo zawsze wywoływał takie reakcje w kobietach, nawet kiedy jeszcze byliśmy w szkole.

Wjeżdżamy windą na trzecie piętro. Kiedy wchodzimy do jadalni, w powietrzu nadal unoszą się przyjemne zapachy jajecznicy, bekonu i innych pyszności, więc może jednak mamy szansę załapać się na coś ciepłego.

Sala jest zatłoczona. Ludzie prowadzą rozmowy normalnym tonem, ale jest ich tak wielu, że zawsze mam wrażenie, jakby wszyscy krzyczeli. Po lewej stronie znajduje się bufet, więc zgarniam tackę i talerz ze stolika.

– Telly? – zagaduje znów Axel.

Wznoszę oczy do nieba, błagając wszechświat, aby mój brat przynajmniej tutaj nie nalegał na rozmowę o czymś kontrowersyjnym.

– Słucham – informuję go, nakładając pyszności na talerz. Nie zawsze mam w pracy czas na lunch, więc chcę na wszelki wypadek zjeść tyle, by nie zgłodnieć aż do późnego popołudnia.

– Czy ja naprawdę muszę znaleźć pracę?

Talerz na mojej tacy grzechocze, kiedy drżą mi dłonie.

– Oczywiście, że tak. Każdy pracuje. Musisz się dorzucać do budżetu domowego.

– Ale po co nam budżet domowy? Nikt tutaj nie umrze z głodu. – Wskazuje ruchem głowy resztę stołówki.

– Tak, ale musisz jakoś odwdzięczać się za to społeczności. – Rozglądam się nerwowo, sprawdzając, czy nikt nie słyszy tej rozmowy. Ostrożności nigdy nie za wiele.

– To co miałbym robić? Gdzie się zgłosić? Chcesz, żebym był woźnym?

– Nie – mruczę. – Oczywiście, że nie.

W New Energy wiemy lepiej, niż gdziekolwiek indziej, że każda praca jest ważna. W rzeczywistości nie miałabym nic przeciwko, gdyby został woźnym. To zajęcie równie godne, co każde inne, a ja przynajmniej wiedziałabym, że jest bezpieczny. *Pozornie* bezpieczny, ponieważ mój genialny brat w takiej pracy prawdopodobnie zanutłby się na śmierć.

– Nie chciałaś, abym pracował w Laboratorium – mówi Axel, a ja słyszę, że stara się maskować pretensję w głosie. – To by było najlepsze, Telly. Nadal bym się uczył, a jednocześnie zarabiałbym jakąś kasę, która wciąż nie wiem, do czego jest nam potrzebna.

Przygryzam wargę. Agencja Postępu i Rozwoju Wspólnoty albo, jak ją potocznie nazywamy, Laboratorium, zazwyczaj jest oczywistym rozwiązaniem dla wszystkich młodych geniuszy.

Kiedy Axel rzucił ten pomysł, mogłam myśleć tylko o tym, ile lubi zadawać pytań.

A co, gdyby chciał skonstruować coś, co zdaniem Zarządu nie powinno być konstruowane?

Tak jak nikt nie kazał mu „naprawiać” radia.

– Po prostu się martwię – wyjaśniam. – Jak na osobę tak małomówną, zaskakująco rzadko umiesz trzymać gębę na kłódkę. A kasę zawsze trzeba oszczędzać. Nasz samochód przeżyje jeszcze najwyżej dwa lata, a do tego przydałoby się zrobić remont kuchni...

– Po co? I tak lada moment się wyprowadzisz.

Odkładałam szczypce, którymi przerzucałam bekon na talerz. Może to dobrze, że Axel wyrwał mnie z transu, zanim nałożyłam więcej. Bekon trafia nam się rzadko, więc nie powinnam zagarniać dla siebie za dużo, bo mogłoby go zabraknąć dla kogoś innego.

Patrzę na brata pytająco.

– Jesteś z Milo – mówi. – Jak się pobierzecie, to przydzielę wam lokum.

Moje policzki robią się gorące.

– Jestem z Milo od paru tygodni! – syczę. – To zdecydowanie za wcześnie na mówienie takich rzeczy.

Axel wzrusza ramionami i bez opamiętania wrzuca bułki na tacę.

– Kwestia czasu. Tak to działa.

Coś niepokoi mnie w jego tonie.

– Axel – mówię cicho. – Wiesz, że zabrałabym cię ze sobą, prawda?

Nowożeńcom przydziela się małe mieszkania w blokach, ale przecież Axel nie zajmuje dużo miejsca. Nie mogłabym zostawić go z Astrid. Odzywa się do nas tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne lub żeby powiedzieć coś nieprzyjemnego. Jeśli mój brat zostałby z nią sam, mógłby całkiem zapomnieć, jak się mówi, biorąc pod uwagę to, jak spektakularnie mu zawsze szło prowadzenie rozmów.

Patrzy na mnie niepewnie.

– Milo... to znaczy, twój potencjalny przyszły małżonek musiałby się na to zgodzić.

– Czyli będę musiała szukać takiego, który się zgodzi.

W aktualnej sytuacji nie byłoby z tym problemu. Milo bardzo się stara, żeby Axel go polubił, choć nigdy nie sugerowałam, że jego aprobata jest niezbędna. Mógł wyczuć to instynktownie. Z drugiej strony, wszyscy lubią Milo – pewnie wcale się nie stara, tylko po prostu jest sobą.

Póki co Axel wydaje się oczarowany.

Odwracam się i próbuję wyłowić chłopaka wzrokiem z rozgadanego tłumu. Axel depcze mi po piętach.

Prawie zderzam się ze ścianą. Wyhamowuję w ostatniej chwili, kiedy kątem oka zauważam zbliżający się ciemny kształt. Łapię równowagę i zaciskam dłonie na tacy, a naczynia znów grzechoczą niebezpiecznie.

Zadzieram głowę, a ściana wcale nie jest ścianą. Ma ciemnoniebieskie oczy, ciężkie powieki i wyniosłą minę.

To Aaron Scott.

Fala emocji zalewa mnie nagle, ale jednocześnie *spodziewanie*. Nie mam pojęcia, dlaczego nadal mi odbija, gdy go widzę, zwłaszcza że spotykam go dość często.

– Przepraszam, subieckie Scott – mówię sztywno.

Unosi brew tak, że znika pod czarnymi kosmykami, które opadają mu na czoło. Chyba oczekuje pokłonu.

Mogłabym uklęknąć, ale w zupełnie innych okolicznościach.

Odganiam dumną myśl, choć nerwowy chichot rośnie mi w gardle. Głupia Stella.

Nie chcę patrzeć Aaronowi w oczy, więc gapię się na jego wysoką, idealnie wyrzeźbioną kość policzkową.

Dobrze, że nigdy nie dowie się o tym, co działo się w mojej głowie podczas Parady pięć lat temu. Dzięki temu to upokorzenie istnieje tylko w moich myślach.

– Kaprału Scott? – próbuję, choć jestem przekonana, że tym wymownym milczeniem wcale nie zarzucał mi niepoprawnej tytułatury. – Wasza wysokość?

Przewraca oczami.

– Nie chodziło mi... – zaczyna, ale zaraz urywa, jakbym nie była warta zachodu. – Nic się nie stało, subieckie Lindqvist. Chociaż może na przyszłość wypadałoby patrzeć, gdzie i na kogo się wchodzi.

Nie reaguję. Po tylu latach przyzwyczaiłam się do jego sposobu bycia. Nigdy mnie nie lubił, choć kiedy jeszcze chodziliśmy razem do szkoły, tata przekonywał mnie, że to „końskie zaloty”. Może stąd wzięła się moja szczenięca obsesja na punkcie tego chłopaka. Na szczęście się z niej wyleczyłam.

Potem, kiedy „końskie zaloty” przestały być wiarygodnym usprawiedliwieniem, tata próbował mnie przekonać, że Aaron zazdrości mi wyników w nauce. Wtedy już ojciec wyraźnie wychodził z siebie, żeby jakoś mnie pocieszyć, i chyba zdawał sobie sprawę, że nie uwierzyłam.

– Najmocniej przepraszam – powtarzam, skłaniając się w teatralnym dygnięciu. – Oczywiście jestem tutaj jedyną osobą, która nie patrzyła, gdzie idzie.

Nie rozumiem, dlaczego w ogóle nadal go widuję. Wojsko ma własną stołówkę, a do tego ojciec Aarona jest w Zarządzie.

Niczego nam tu nie brakuje, ale oni mają dostęp do rzeczy, o których pewnie nawet nie słyszeliśmy.

Lustruję wzrokiem jego czarną koszulkę, która wyróżnia się w morzu szarych, praktycznych ubrań.

Zamysł jest taki, żeby nie zwariować od słońca i wilgoci, a przewiewne tkaniny spełniają swoją funkcję.

Niektórzy potrzebują takich pierdół jak ciemne ubrania, by mogli poczuć się wyjątkowi.

Dopiero kiedy unoszę wzrok i nasze spojrzenia się spotykają, uświadamiam sobie, że coś mi odpowiedział, a ja kompletnie go wyciszyłam.

– Przepraszam, nie słuchałam. Co mówiłeś? – pytam ze szczerym zainteresowaniem.

Aaron prycha z irytacją, wymija mnie i rusza do drzwi. Pewnie musiał się powstrzymywać, aby nie popchnąć mnie barkiem.

– Co to było? – zagaduje Axel, który całą tę wymianę zdań obserwował z bezpiecznej odległości.

– Dziękuję za pomoc, bracie najukochańszy – warczę. – Twoja obecność u mojego boku jest nieoceniona.

Axel wzrusza ramionami. Mam wrażenie, że to jego reakcja na wszystko.

– Jest wielki – wyjaśnia. – Nie będę go zaczepiał.

– A ty jesteś mądry.

– Tak, bo wszyscy wiemy, że kłótnie wygrywa się dzięki wiedzy z zakresu inżynierii, chemii i fizyki. A skoro już o wielkich facetach mowa... – dodaje, wskazując brodą przed siebie.

Milo wstał od stołu, co eliminuje problem ze znalezieniem go. Góruje nad tłumem i przedziera się przez niego jak lodolamacz. Macha do nas z uśmiechem, a ja odmachuję. Axel patrzy ze zmarszczonymi brwiami na własną dłoń, jakby próbował rozszyfrować sens tego gestu.

– Cześć wam – rzuca Milo swoim dudniącym głosem. Kilka głów odwraca się w naszą stronę. – Trochę późno dotarliście, jestem już po śniadaniu – dodaje przepaszająco.

Miażdży mnie w uścisku ogromnych ramion, a jego klatka piersiowa otula mnie jak kokon.

– Nie szkodzi. – Mój wzrok instynktownie ucieka do wyjścia, gdzie Aaron odkłada tackę i zużyte naczynia. – Jadłeś ze Scottem?

Milo wzdycha.

– Tak. I zanim spytasz: nie, nie powiedziałem mu o nas.

Milo i ja nie obnosimy się z tym, że jesteśmy razem, ale miło by było potrzymać się za ręce czy coś w tym stylu. On jednak twierdzi, że musi najpierw powiedzieć o nas przyjacielowi, a póki co tchórzy przy każdej okazji.

Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle lubi Aarona. Traktuje go jak brata. Mam czasem wrażenie, że są ze sobą bliżej niż ja i Axel.

Milo stracił rodziców w wypadku na kopalni czternaście lat temu – oboje pracowali przy wydobywaniu i od zawsze chciał iść w ich ślady. Może dlatego tak mu zależy, żeby Aaron zaakceptował nasz związek. Jest czymś na kształt rodziny, więc Milo potrzebuje jego wsparcia.

Nie jest to łatwe, skoro Aaron pewnie chętniej widziałby u jego boku jednooką wiedźmę niż mnie.

– Kiedyś musisz – mówię łagodnie. Dyskretnie głaszczę palcem wierzch jego wielkiej dłoni.

Axel stoi obok i chyba próbuje wtopić się w ścianę. Nie chcę, żeby czuł się niezręcznie, więc kieruję się żwawo do najbliższego stołu, a Axel siada naprzeciwko mnie. Milo, chcąc nie chcąc, musi do nas dołączyć.

Znowu spoglądam na Aarona. Stoi w wejściu i przygląda się Milo ze zmarszczonymi brwiami. Zapewne mieli razem wyjść. Szach-mat, Scott.

– Myślę, że powinniśmy zrobić to razem – mówi Davis. – Przyjdę dzisiaj do ciebie po pracy, okej? Przyrowadzę Aarona i pogadamy na spokojnie.

Wytrzeszczam oczy.

– Co... Mówiłeś, że musisz najpierw pogadać z nim sam – sapię. – Że najpierw trzeba go spacyfikować.

– Przemyślałem to. – Posyła mi czarujący, chłopięcy uśmiech, pocierając dłonią zarost. – Teraz uważam, że lepiej, abyś tam była. Mniejsze prawdopodobieństwo, że zrobi scenę.

Wiem, co ma na myśli. Milo po prostu nie ma ochoty słuchać, jak Aaron wyraża się o mnie niepocholebnie. Błędnie zakłada, że nie będzie tego robił w mojej obecności.

Uważam, że to pójscie na łatwiznę i odwlekanie nieuniknionego, ale zachowuję tę uwagę dla siebie.

– W porządku – zgadzam się. – Przyrowadź go. Będę w domu o dwudziestej. Jakoś się z nim uporamy. – Staram się przywołać pozytywny wyraz twarzy, ale wcale nie jestem gotowa na konfrontację z Aaronem Scottem.

Milo uśmiecha się z wdzięcznością.

– Hej, Milo? – zagaduje nagle Axel.

– Co tam, mistrzu? – odpowiada Milo z przesadnym entuzjazmem.

Większość ludzi traktuje mojego brata tak, jakby był małym dzieckiem, a ja staram się nie pokazywać, jak bardzo mnie to irytuje. Może Axel zazwyczaj nie błyszczy jako rozmówca, ale jeśli ktoś chciałby pogadać z nim na istotny temat, który go interesuje, to zmiażdżyłby każdego.

Jestem niesprawiedliwa. Milo zawsze stara się uwzględnić zainteresowania Axela.

– Jakich sprzętów używacie przy wydobywaniu?

Och, na litość boską.

Milo tylko przez ułamek sekundy wygląda na zbitego z tropu.

– Chodzi ci o...

– O coś zasilanego xyronem.

– Um... – Odgarnia z czoła długie, brązowe loki. – Pierwszy na myśl przychodzi mi młot udarowy. Są połączone z odkurzacami i...

Oczy Axela natychmiast błyskają entuzjazmem, a moje serce mięknie.

– Mogę wieczorem opowiedzieć ci, jak działają – proponuje Milo. – Nie wolno mi wnosić sprzętu z kopalni, ale chyba nie będzie problemu z instrukcją.

Axel kiwa głową z zapałem.

– Poproszę.

Milo głośno się śmieje. Jego głos znowu dudni po całej stołówce. Właśnie w takich momentach wygląda najprzystojniej. Mruży brązowe oczy w uroczy sposób i odrzuca głowę do tyłu, natychmiast uświadamiając wszystkim wokół, że ten osilek tylko tak groźnie wygląda. W rzeczywistości przypomina raczej wielkiego pluszaka, choć większość jego ciała stanowi twardy mięsień.

– Muszę lecieć – mówi w końcu. – Do wieczora?

– Do wieczora – odpowiadam, siląc się na uśmiech.

Pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek, ale oboje widzimy kątem oka, że Aaron nadal czeka na niego w drzwiach. Milo *omija* mój policzek i udaje, że zdejmuje mi paproch z włosów. Krzywię się wymownie, na co on posyła mi skruszone spojrzenie. Ciężko jest się na niego złościć.

Jednak kiedy mierzwi włosy Axelowi i znów nazywa go „mistrzem”, ponownie muszę stłumić irytację.

Biorę widelec. Miło by było w końcu zacząć jeść.

– Myślisz, że mógłbym też robić coś na kopalni? – pyta nagle Axel, ze wzrokiem wbitym w oddalające się plecy Milo.

Myślę o wybuchach i spadających skałach. O długich godzinach spędzanych pod ziemią i o szczupłej, bladej sylwetce Axela.

– Nie – stwierdzam głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Unosi brew i udaje, że jest urażony.

– Nie mówię o wydobywaniu – wyjaśnia. – Ale przecież na pewno potrzebują kogoś do logistyki czy koordynacji. Mógłbym spróbować tam. Milo załatwiłby mi jakieś stanowisko.

– Cóż... – waham się. Nie chcę, aby potem mówił, że jego bezrobocie jest moją winą, skoro nic mi nie pasuje. – Może...

– Kiedy już wszyscy razem zamieszkamy, Milo i ja będziemy mogli razem jeździć do pracy.

Odkładam widelec. Powieka mi drga.

– Czy ty myślisz, że ludzie biorą ślub tylko po to, żeby dostać mieszkanie?

Patrzy na mnie z niewinną miną, wpychając sobie suchą bułkę do ust. Nie mam pojęcia, skąd wyniósł swoje nawyki żywieniowe.

– W dużej mierze o to się rozchodzi, prawda? Każdy chce się wyprowadzić od rodziców, a już szczególnie kiedy mieszka się z taką mamą jak Astrid.

Zaczynam masować skronie.

– Nie – wzdygam. – Ludzie biorą ślub, bo się kochają.

Robi taką minę, jakby ze mną wygrał, a ja nie mam pojęcia, w co graliśmy.

– A ty kochasz Milo?

Axel rzadko mnie drażni, ale momenty, w których jest z siebie taki zadowolony, stanowią wyjątek.

– *Lubię* Milo – warczę. – To na razie wystarczy.

Rozdział 2 – Aaron

Powinienem przestać tu przychodzić.

Milo pstryka mi palcami przed oczami.

Mrugam.

– Przepraszam, czy ja cię nudzę? – ironizuje.

Milo. Przychodzę tu, żeby pobyć trochę z Milo. Żadnych ukrytych motywów.

Złośliwy głos w mojej głowie przypomina mi, że nie narzekam na brak wolnego czasu i nie mam wielu innych przyjaciół, z którymi mógłbym go spędzić. Prawdopodobnie spotkamy się znowu po pracy. Ale kto nie lubi rozpoczynać dnia śniadaniem z kumplem?

– Nie, wybacz – mruczę. – Zamyśliłem się.

Mógłbym dodać, że źle spałem, ale to zbędne. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem dobrze.

– Pytałem, czy masz dziś wolny wieczór – mówi powoli. – Możemy gdzieś wyjść.

– Gdzie?

– Niespodzianka.

– Nie lubię niespodzianek.

Milo wzdycha.

– Wiem. I obawiam się, że ta też ci się nie spodoba. Wyjaśnię wszystko na miejscu.

Wzruszam ramionami, dając do zrozumienia, że wszystko mi jedno.

– Idziesz? – pytam, podnosząc tackę.

– Zaraz cię dogonię – odpowiada, w pośpiechu pakując do ust ostatnie kawałki naleśnika. – Zaczekaj przed wejściem.

Wzruszam ramionami. Przyszedłem tu na piechotę, licząc na to, że Milo podrzuci mnie do pracy, ale może się przeliczyłem.

Idę w stronę okienka, gdzie zwracamy naczynia.

Kiedy mijam bufet, słyszę *jq*.

– Axel – mówi. Myśli, że robi to cicho, ale ma wysoki głos, który jakimś sposobem zawsze wybija się z tłumu. A może to problem z moimi uszami, nie z jej głosem. – Wiesz, że zabrałabym cię ze sobą, prawda?

Axel coś jej odpowiada, a moje stopy wrastają w ziemię. Nie umiem się ruszyć. Nie słyszę jego odpowiedzi, ponieważ jestem za daleko, a tak działa fizyka. Nie rozumiem, dlaczego zawsze słyszę *jq*.

Mój wzrok przykleja się do jasnych włosów związanych w koński ogon. Spływają aż do jej bioder, a moje oczy robią to samo, przesuwając się po znajomych krągłościach, długich nogach.

Workowate, lniane spodnie, szara koszulka, która zdecydowanie pamięta lepsze czasy, i trampki z postrzępionymi sznurówkami.

Perfekcyjne uosobienie ideologii New Energy. Jeśli jakiś ciuch wciąż może utrzymać się na ciele, to nie ma potrzeby kupować nowego. Nie tolerujemy marnotrawstwa. Mój ojciec byłby zachwycony.

– Czyli będę musiała szukać takiego, który się zgodzi.

Szukać kogo? Zgodzi na co?

Potrząsam głową, jak pies otrzepujący się z wody. Dlatego właśnie powinienem przestać tu przychodzić.

Moje stopy mają własne pomysły. Naturalnie grawitują w jej stronę, postanawiając, że musimy jakoś znaleźć się na drodze ku dziewczynie.

A ona nadal na mnie nie spojrzała.

Jak zwykle.

Jak zawsze.

Idę przed siebie, podczas gdy ona rozgląda się za czymś po stołówce. Axel drepcze za nią i to jego spojrzenie czuję na sobie jako pierwsze. Ja jestem rozkojarzony, a on nie ostrzega jej na czas.

Dopiero kiedy dziewczyna prawie na mnie wchodzi, chyba odnotowuje moją obecność. Najwyraźniej jestem niewidzialny.

Spójrz na mnie.

Talerz grzechocze na jej tacy, gdy łapie równowagę. Unosi na mnie spojrzenie wielkich, szarych oczu, które na ułamek sekundy rozszerzają się jeszcze bardziej. Rozchyła usta, zaskoczona.

Czuję, jakby ktoś wykopał mi powietrze z płuc. Wstrzymuję oddech. Czekam na nią. Zawsze na nią czekam. I po to tu przyłażę, nie zważając na zdecydowanie gorszą jakość posiłków niż ta w wojskowej stołówce.

Gdyby tylko można było je stamtąd wynosić... A potem jakoś wcisnąć je dziewczynie, która cię nie lubi, bo myśl, że Stella Lindqvist nie ma możliwości zjeść czegoś bogatego w składniki odżywcze spędza ci sen z powiek.

– Przepraszam, subieckie Scott – mówi.

Sztywno. Grzecznie. Dziwnie.

Całe życie chodziliśmy razem do szkoły, a odkąd ją skończyliśmy, ona nigdy nie zwraca się do mnie jak człowiek, po imieniu.

Unoszę brew. Łudzę się, że mnie zrozumie, ale dlaczego miałyby nagle przestać zakładać najgorsze?

– Kapralu Scott? – zmienia. – Wasza wysokość?

Przewracam oczami.

– Nie chodzi mi... – zaczynam, ale szybko gryzę się w język. To nie ma sensu. – Nic się nie stało, subieckie Lindqvist. Chociaż może na przyszłość wypadałoby patrzeć, gdzie i na kogo się wchodzi. – Złośliwość wypływa ze mnie równie łatwo jak powietrze.

Znów nie zaszczyca mnie reakcją. Rozgląda się zniecierpliwiona, chcąc dać mi do zrozumienia, że skończyła tę rozmowę, że możemy się rozejść.

Ale ja chcę zostać.

– Najmocniej przepraszam – mówi, a następnie ugina kolana w niezdamnym dygnięciu. – Oczywiście jestem tutaj jedyną osobą, która nie patrzyła, gdzie idzie.

Kąciki ust drgają mi mimowolnie. W końcu coś znajomego. *Stella*.

Mój wzrok trzyma klasę i nie przesuwają się na jej szybko unoszącą się i opadającą pierś. Trzyma się twarzy. Stella ma zaciętą minę, marszczy brwi i przygryza wargę z irytacją. Stoi pewnie i czeka, aż to ja zejdem jej z drogi.

Jakiegokolwiek opanowanie, które udało mi się zbudować przed tą rozmową, rozpada się z trzaskiem u moich stóp.

Mrugam szybko, odganiając wspomnienie czerwonej wstążki fruwającej wokół jej głowy.

– Może nie jedyną – przyznaję ugodowo. – Ale założę się, że ja myślałem o czymś ciekawszym – mówię i jest to kiepskie, żałosne zdanie, w którym brakuje jakiegokolwiek treści, ale *powiedz, proszę, powiedz mi, o czym myślałaś*.

Coś w mojej klatce piersiowej budzi się z drzemki, głodne każdej jej myśli.

Ma wzrok wbity w moją koszulkę i może trwa to od jakiegoś czasu, nie jestem pewien. Kilka sekund ciszy rozciąga się pomiędzy nami, a frustracja rośnie mi w gardle.

Kiedy znowu patrzy w moje oczy, wygląda na zagubioną.

– Przepraszam, nie słuchałam. Co mówiłeś?

Prycham, bo co innego mogę zrobić.

Wymijam dziewczynę, a kątem oka dostrzegam, że opuszcza ją cała energia, cała pewność siebie. Zerka na mnie i nie widzę wrzątku, nie widzę pasji. Mruga powoli, jakbym ją wykończył.

Wygląda, jakby żałowała, że w ogóle na mnie spojrzała.

Odwracam się i idę do okienka, a jej brat odprowadza mnie wzrokiem. Zapomniałem, że był obok.

Odkładam naczynia i witam się z rozentuzjasmowaną panią Russo, która je ode mnie odbiera. Nie wiem dlaczego, ale starsze kobiety zawsze mnie uwielbiały. Może to być albo chęć przypodobania się mojemu ojcu, albo po prostu byłem uroczy jako dziecko. Nie zliczę, ile razy któraś z nich podsuwała mi kawałki czekolady czy inne regulowane przekąski, kiedy nikt nie patrzył.

Co innego mężczyźni. Nie lubi mnie żaden z wyjątkiem Milo i sierżanta Diaz.

Staję obok drzwi, opieram się o ścianę i czekam na przyjaciela. Nie mam pojęcia, dlaczego nadal go tu nie ma. Ile może zajmować zjedzenie jednego naleśnika? Zwłaszcza kiedy je się w takim tempie jak Milo.

Szukam go w tłumie i natychmiast go znajduję, bo to Milo. Kiedy ma się...

Milo obejmuje Stellę.

Mam łód w żyłach.

Czekam, aż go odepchnie, aż pośle mu zdziwione spojrzenie, aż... cokolwiek. Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym to ja ją dotknął.

To kłamstwo. Wyobrażałem to sobie milion razy.

Ale nie, Stella odwzajemnia uścisk. Milo ją puszcza i mierzwi włosy jej bratu. Co...

Nie wiedziałem, że się kumplują. Ledwo odnotowałem, że się znają. Mimo że wszyscy chodziliśmy razem do szkoły.

Rodzeństwo siada przy stole, a Milo stoi obok nich, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Jakby tam pasował.

Nadal opieram się o ścianę, nieruchomy jak posąg. Z jakiegoś powodu w środku wszystko mi drży.

Rozmawiają jeszcze przez chwilę. Milo pochyla się i ściąga coś z włosów Stelli.

Palce mnie mrowią.

W końcu idzie w moją stronę.

– Gotowy? – zagaduje jak gdyby nigdy nic. – Podrzucić cię do domu czy od razu na poligon?

– Poligon – mamroczę. – Nie wiedziałem, że rozmawiasz ze Stellą Lindqvist.

Nie. Powinienem wspomnieć też o jej bracie. To brzmi dziwnie.

Za późno.

Milo wzrusza ogromnymi ramionami.

Wychodzimy na zewnątrz, kierując się do samochodu, a słońce natychmiast rozgrzewa mi kark i rzuca się łapczywie na czarną koszulkę i włosy.

Jak Milo wytrzymuje w naszym klimacie ze swoimi ciemnymi lokami? Sięgają już łopatek. Zakładam, że łączy je przynajmniej do pracy, bo wiem, jakie temperatury panują w kopalni.

– Ty też z nią rozmawiasz – zauważa. – Tyle że ja robię to bez dziwacznej i zbędnej wrogości. To miła dziewczyna – ucina. – Co słyhać w pracy?

Wyraźnie próbuje zmienić temat, ale skoro robi to aż tak topornie, to musi mu zależeć. Nie opieram się.

– W porządku. Dostałem nowe MI07.

Milo unosi brwi z rozbawieniem.

– A co to takiego?

– Karabin xyronowy siódmej generacji – mówię, uśmiechając się z satysfakcją. Zdążyłem zapomnieć, jaki byłem podekscytowany, kiedy sierżant mnie o tym poinformował. – Jest ogromny.

– Super. Ja powinienem dostać nowy kombinezon w tym kwartale – odpowiada. – Jeśli mi go nie dadzą, to użyjemy twojego nowego karabinu, żeby wypalić w starym kombinezonie ogromną dziurę w kroczu. Wtedy nie będą mogli odmówić.

Marszczę brwi.

– Strzela energią o sile dwudziestu tysięcy woltów, ale nie ma sprawy. Jestem pewien, że nie zrobimy sobie krzywdy.

Milo szczyrzy zęby i siada za kierownicą.

– A tak wracając do kwestii wieczornego spotkania – zaczyna, gdy ruszamy – umówmy się na dwudziestą, ale zamykam dzisiejszą zmianę, więc mogę się trochę spóźnić.

– W porządku. – Kiwam głową. – Gdzie?

Milo wyciąga z kieszeni zwinięty kawałek papieru i mi go podaje.

– Zapisałem ci adres. Po prostu tam idź i na mnie zaczekaj, dobrze?

Marszczę brwi i z wahaniem odbieram od niego kartkę. Nie rozumiem, w co pogrywa, ale w ogóle na mnie nie patrzy. Nie naciskam. Ale może powinienem się bać.

Ojciec nie mógł zrozumieć, dlaczego chciałem zamieszkać w kompleksie wojskowym, kiedy otrzymałem taką możliwość. To, że zapragnąłem wydostać się z tamtego przeklętego domu, było dla niego niepojęte.

Mój domek szeregowy jest mały, szary i taki jak wszystkie pozostałe. Ma jeden pokój, łazienkę i aneks kuchenny, ale jeśli potrzebuję odrobiny miejsca, wystarczy, że odsunę nieliczne meble pod ściany. Odkąd skończyłem dwadzieścia lat, robię to rzadko, ale dobrze jest mieć tę możliwość.

Mimo wszystko staram się odwiedzać dom rodzinny ze względu na mamę, szczególnie w te dni, kiedy jestem w formie. Dzisiaj nie jest taki dzień.

Po pracy zamykam się na pół godziny w łazience i rozgrzewam mięśnie pod prysznicem. Jest zdecydowanie za gorąco, żeby było to przyjemne, ale lata doświadczenia nauczyły mnie, że jeśli tego nie zrobię, to jutro będę żałował. A przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ obecnie zakwasy są jedynie mglistym wspomnieniem sprzed lat.

Kiedy wychodzę z łazienki, moje psy są obrażone, ponieważ nie poświęciłem im stu procent uwagi zaraz po powrocie do domu.

– Mam swoje życie – tłumaczę, pocierając włosy ręcznikiem, kiedy Ringo mściwie wypluwa mój obśliniony but. – Nie możecie oczekiwać, że będę spędzał z wami każdą sekundę.

John odwraca się do mnie tyłem, kiedy jeszcze jestem w połowie zdania. Ładuje wielkie cielsko na kanapę i patrzy mi w oczy. Dobrze wie, że siedzi na moim miejscu.

George przebiega beztrąsko przede mną, po drodze rozwijając rolkę papieru toaletowego. Zduszam zirytowanie.

– Dobra – mruczę. – Jak chcecie.

Paul jest najmniejszy i z jakiegoś powodu najczęściej sprzeciwia się reszcie Beatlesów. Staje wiernie przy mojej stopie, która jest mniej więcej takiej samej wielkości jak on sam. Obskakuje nogawkę, radośnie witając mnie w domu. Biorę go na ręce i siadamy razem na kanapie, odsuwając na bok tyłek Johna.

Pozostałe czworonogi patrzą na Paula z oburzeniem z powodu tej zdrady, ale ten nic sobie z tego nie robi i zaczyna lizać mnie po twarzy.

– Okej, nie przesadzaj, bo upozorują twoje samobójstwo – mówię, po kryjomu podając mu przekąskę.

Wieczorem ubieram się na spotkanie z Milo. Dopiero kiedy zapinam moje ulubione spodnie z milionem kieszeni – gdy już udaje mi się je wyrwać z pyska Ringo – i zaczynam wiązać ciężkie, wysokie buty – George żuje sznurówkę i patrzy na mnie tak, jakbym miał mu za to podziękować – dostrzegam problem w tej całej „niespodziance”. Mam nadzieję, że Davis nie zaciągnie mnie gdzieś, gdzie wypada ubrać się bardziej wyjściowo. Tak bez żadnego ostrzeżenia.

Wzdycham. Cóż, jeśli tak, to jego problem. Chyba nie zakładałby, że się domyślę.

Odpalam samochód i wyciągam kartkę z adresem, którą mi zostawił. Czytam ją po raz pierwszy i coś zamraża mi kręgosłup.

Czytam ponownie.

I jeszcze raz.

To adres Stelli.

Impulsywnie odpinam pas i wyskakuję z samochodu, jakby siedzenie mnie poparzyło.

To bez sensu. Dlaczego by mnie tam wysłał? Co się tutaj dzieje?

Krew huczy mi w głowie, wygrywając znajome nuty paniki. Opieram łokcie o dach samochodu. Zakrywam dłońmi usta i nos, żeby ograniczyć przepływ powietrza.

W myślach błagam wszechświat, żeby żaden z sąsiadujących ze mną żołnierzy nie stał akurat w oknie.

Krew się uspokaja. Przecież nie zapraszają mnie tam, żeby ze mną skończyć. Na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie. Po prostu ja jeszcze go nie znam.

Może ktoś umarł. A oni z jakiegoś powodu uznali, że muszą mi o tym opowiedzieć we dwójkę.

Może brat Stelli chce wstąpić na ścieżkę wojskową. Mógłbym pomóc mu przygotować się do testów. Nigdy nie wydawał się czymś takim zainteresowany, ale kto wie. Życie zaskakuje.

Nie dowiem się, dopóki tam nie pojedę. Nie ma sensu odwlekać.

Kiedy znowu oddycham normalnie, wsiadam z powrotem do samochodu. Słońce zachodzi, a ja mijam setki identycznych szarych domów i kilka bloków mieszkalnych.

Mam nadzieję, że Milo jednak się nie spóźni. Nie wyobrażam sobie, abym umiał zabić czas, rozmawiając ze Stellą sam na sam, nie mówiąc przy tym czegoś głupiego lub niestosownego.

Raz musieliśmy z jakiegoś powodu zostać po lekcjach. Byliśmy sami w klasie. Rzuciłem jakiś głupi komentarz o jej tacie, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że zginął w wypadku – nie wiem czy ona już wiedziała.

W każdym razie, rąbnęła mnie w twarz.

Kiedy pokazałem się w domu z podbitym okiem, ojciec, rzecz jasna, natychmiast zaplanował rozpętanie afery. Ostatecznie nie udał się na skargę do dyrekcji i do rodziców Stelli tylko dlatego, że wieczorem informacja o śmierci pana Lindqvista obiegła całą strefę.

Podjeżdżam pod jej dom. Zatrzymuję się przy białym płocie, po cichu licząc na to, że wyskoczy zza niego jakieś psisko wielkości Johna i po prostu mnie nie wpuści.

Lampka na ganku świeci zachęcająco. Biorę głęboki wdech, wchodzę na podwórkę i pukam do drzwi.

Po kilkunastu sekundach otwierają się, a staje w nich wysoka, blondwłosa kobieta z jasnymi pasmami siwizny przy czole.

Astrid Lindqvist. Niech to szlag. W ogóle nie wziąłem pod uwagę możliwości, że otworzy mi ktoś inny niż Stella.

– Dzień dobry, subieckie Lindqvist – mówię. Orientuję się, że używam służbowego tonu, dopiero kiedy słowa wybrzmiewają. – Jestem...

– Wiem, kim jesteś, kapralu Scott – mówi spokojnie, zadzierając podbródek w taki sam sposób jak Stella.

Wygląda na to, że nie ma zamiaru powiedzieć nic więcej. Patrzy na mnie wyczekująco, zakładając za ucho siwe pasemko, które wydostało się z ciasnego koka.

Mówiono nam, że kobiety na Zewnątrz farbowały włosy, przez co rzadko widywało się trzydziesto- i czterdziestolatki z siwizną na głowie. Nas oczywiście nauczono, że jest to zbytek, podobnie jak makijaż – nie ma sensu zasłaniać natury. Moja matka raz

zafarbowała włosy z okazji Parady i nawet wtedy otrzymała z tego tytułu kilka pogardliwych spojrzeń.

Chrząkam z zakłopotaniem, zastanawiając się, jak wytłumaczyć moją obecność w tym domu.

Głowa Axela pojawia się w wejściu i chłopak ratuje mnie z opresji.

– Och, cześć – mówi chłopak, nie patrząc mi w oczy. Nie jestem urażony, bo zauważyłem, że robi tak ze wszystkimi. Zawsze jest albo za mało kontaktu wzrokowego, albo za dużo. Na tyle dużo, żeby wywołać dyskomfort. – Mamo, przyszedł do Stelli.

Fakt, że nie używa tytułu ani mojego stopnia, sprawia, że nieco się rozluźniam, mimo że prawdopodobnie nie robi tego celowo. Nie jestem pewien, czy nie wie, co wypada, czy może po prostu nie zwraca na to uwagi, ale jedno i drugie jest cechą, którą mógłbym polubić.

Astrid zachowuje kamienną twarz. Czy kiedykolwiek widziałem u niej inną minę?

– Hmm – mruczy. – Co się stało z chłopcem górników?

Czyli Milo już tu przychodził. Z jakiegoś powodu ta myśl wywołuje we mnie irytację.

– Nic się z nim nie stało – mówi Axel, marszcząc brwi. – Zaraz przyjdzie.

Astrid odchodzi od progu i bez pożegnania znika w pomieszczeniu obok. Trzaska drzwiami.

Axel wykonuje zapraszający gest dłonią, po którym zakładam, że mam wejść. Mijamy salon, łazienkę i schody. Idziemy w stronę drzwi na końcu żółtego korytarza.

– Co to takiego? – pyta nagle, bez skrępowania chwytając mnie za nadgarstek. Podskakuję.

Patrzy na moją wojskową bransoletę. Zazwyczaj nikt nie zwraca na nią uwagi, ponieważ czarny ekran wtapia się w skórzany pasek. Z daleka wygląda jak niezbyt udana ozdoba, nie zaś urządzenie.

– Wszyscy w pułku takie nosimy – wyjaśniam. – Powiadomi mnie, gdyby coś się działo.

Stukam knykiem w ekran, a ten natychmiast świeci się na fioletowo.

– Och. – Oczy chłopaka błyszczą z ekscytacją, a ja walczę z uśmiechem. – Zasilane na xyron?

– Jasne.

– Możesz tylko odbierać informacje? Czy też wysyłać?

– Mogę wysyłać podstawowe rzeczy – przyznaję. – Ale tylko do sierżanta, który potem zdecyduje, co zrobić z danym ostrzeżeniem.

– Jak krótkofalówka?

– Dokładnie. Chociaż mogę wysłać też wiadomość pisemną.

Przenosi na mnie spojrzenie, z którego aż wylewa się fascynacja. To wysoki chłopak, możliwe, że jesteśmy tego samego wzrostu. Zawsze też wydawał mi się bardzo poważny. Natomiast w tej chwili jego radość jest tak czysta i niewinna, że kojarzy mi się z dzieckiem.

– Myślałem o tym! – mówi. – To byłoby takie proste, gdybyśmy najzwyczajniej wzięli... ale Stella powiedziała, że telefon...

– Axel – odzywa się nagle Stella.

Obaj orientujemy się, że drzwi na końcu korytarza są otwarte. Dziewczyna stoi przed nimi z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Rozpuściła włosy. Spływają po jej plecach złotymi falami. Wygląda na zmęczoną.

– Oglądałem tylko bransoletę – mruczy Axel. Brzmi tak, jakby popełnił drobne przestępstwo.

Stella kiwa głową. Przenosi wzrok na mnie. Jest przestraszona. Przeze mnie?

– Kapralu Scott – mówi grzeczenie.

Och, na litość boską. Wystarczy tych wygłupów.

– Cześć, Stella – odpowiadam z naciskiem.

Jej oczy rozszerzają się jeszcze bardziej.

– Zostawię was samych – mówi Axel, odwracając się z zakłopotaniem i odchodząc w przeciwnym kierunku. Część mnie chce krzyknąć *tak, proszę, idź*, podczas gdy druga ma ochotę go błagać, by został.

– Kiedy przyjdzie Milo, wyślij go do mnie – mówi miękko Stella do oddalających się pleców brata.

Prowadzi mnie schodami w dół. Spodziewam się ciemnej i wilgotnej piwnicy, ale zamiast tego widzę całkiem przytulne pomieszczenie o nieco agresywnych, czerwonych ścianach.

W środku znajdują się tylko dwa meble – dębowa szafa i łóżko z zieloną narzutą.

Nie patrz na łóżko.

Jakimś cudem jest tu czysto i schludnie, mimo że Stella poukładała wiele rzeczy na podłodze. Pod ścianą stoją sterty książek, radio z magnetofonem i pudełko z kasetami. Po drugiej stronie, bliżej drzwi, Stella ustawiła gramofon na kolejnych dwóch stosach lektur. Konstrukcja wygląda dość stabilnie.

– Powiesz mi, co ja tu robię? – pytam, spoglądając na nią.

Mój wzrok znów błądzi wokół łóżka, kiedy uświadamiam sobie, że nie ma tu innego miejsca, na którym mogłaby kazać mi usiąść.

Powinniśmy rozmawiać w kuchni.

– Milo wyjaśni ci, jak przyjdzie – mówi, uśmiechając się słabo. Jest zestresowana.

– Chcesz coś do picia?

– Nie, dziękuję. – Z braku lepszego pomysłu, podchodzę do pudełka w kącie pokoju, gdzie dostrzegam kilkadziesiąt płyt winylowych.

Wiele z nich to płyty Beatlesów. Szybko próbuję przypomnieć sobie, w których latach wychodziły poszczególne albumy. Oczywiście część piosenek ukazujących się po założeniu New Energy jest u nas legalna, ale biorąc pod uwagę to, jak wiele utworów wyprodukowali Beatlesi, to z pewnością jest to mniej niż połowa. A ona ma całe albumy. Mnie też zdarzało się kupować muzykę nielegalnie, ale jestem w nieco łatwiejszej sytuacji niż Stella. Ciekawe, jak to dorwała.

Cenzura wydaje się teraz znacznie ostrzejsza niż kiedyś, choć Zarząd tłumaczy nam, że gdy świat trawia nieustające wojny, to siłą rzeczy powstaje mniej tekstów kultury. W zasadzie brzmi to prawdopodobnie.

Biorę jedną z płyt do ręki. Dopiero kiedy zerkam na Stellę, dostrzegam, że jest spięta.

Nie, nie spięta. *Przerażona*.

Jestem żołnierzem. Nie zna moich osobistych przekonań. Nie powinna pozwolić, żebym zobaczył te płyty.

– Lubisz ich? – pytam, nieudolnie próbując rozluźnić atmosferę.

W moim głosie musi znajdować się właściwa nuta, ponieważ jej ramiona nieco się relaksują.

– Och, bardzo – przyznaje. – A ty?

Chcę z nią rozmawiać. Jej oczy błyszczą, policzki ciemnieją, a ja nie chcę, żeby to się skończyło. Nawet jeśli dobrze wiem, jakie to durne.

Obiecałem sobie, że przestanę próbować wciskać się do jej życia po tym, co zrobiłem z listą w gabinecie ojca. Że nie będę więcej sciążał na nią jego uwagi.

– Nie jestem pewien – mówię powoli, przeciągając samogłoski. Przecież nie wie, jakie imiona noszą moje psy. – Który album lubisz najbardziej?

– *Let it be* – odpowiada natychmiast.

Let it be wyszło w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. New Energy zasiedlono i zamknięto w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Znowu się zapomina.

Ty lekkomyślna dziewczyno.

– Naprawdę? – pytam, fingując obojętność. – Co w nim lubisz?

Wzrusza ramionami, a jej wzrok krąży po dywanie.

– Brzmienie. Styl. Wiele moich ulubionych piosenek jest z tej płyty.

Unosi wzrok. Moje oczy skupiają się na niej, wizja rozmywa się wokół jej kształtu.

– Myślę, że trochę się wtedy wypalili – kłamię. – Nie sądzę, żeby ten album był tak przełomowy jak poprzednie. Powtarzali się.

Nasze oczy znów się spotykają. Ciężko by mi było żałować tego kłamstwa. Nie mam nic przeciwko naginaniu faktów, o ile dzięki temu dostają jej atencję.

Patrzy na mnie z ledwo skrywanym oburzeniem i mruga powoli jak sowa.

– Muszę się nie zgodzić – odpowiada, a głos drży jej lekko. Kiedyś uwielbiała się ze mną sprzeczać, ale teraz z jakiegoś powodu zależy jej na tej sztucznej uprzejmości. Ale och, Stella Lindqvist nie pozwoli mi przecież obrażać jej ulubionego zespołu. – To nie powtarzanie się, tylko rozwijanie tego, co już zostało wypracowane.

Uśmiecham się kpiąco.

– Natomiast sama piosenka *Let it be* jest po prostu źle skomponowana – ciągnę. – Wlecze się bez końca, zawodząc o niczym... – Sprawdzam jej oczy.

Wygląda jakby w życiu nie słyszała nic bardziej obraźliwego.

– Ja... cóż, każdy może mieć swoje zdanie.

...co? Nieprawda. Wścieknij się na mnie.

– To prawda – mówię. – Poważnie, ten album jest tak kiepski, że...

– Cóż, coś jednak musiało cię w nim zainteresować, skoro go przesłuchałeś – warczy. Jej oczy błyszczą tym walecznym intelektem, który znam ze szkoły.

Tak jest, Słońce.

– Och, nie przesłuchałem go w całości – kłamię znów.

Wciąga powietrze. I chyba w życiu nie słyszałem bardziej wyolbrzymionej reakcji na cokolwiek. Gryzę policzek od środka, żeby powstrzymać się od śmiechu. Oddaję jej album i wsadzam dłonie do kieszeni. Nie lubię tego robić, ale teraz naprawdę nie widzę innych opcji.

– Nie słuchałeś całego... – powtarza głucho. – I sądzisz, że wolno ci wypowiadać się na temat albumu, którego nie słuchałeś? To się nie liczy, Aaron, nawet jeśli słuchałeś większości piosenek...

– Nie była to większość – wtrącam. – Tylko *Let it be*, *Two Of Us* i *Maggie Mae*.

Otwiera różowe usta, a ja rozkoszuję się chwilą. Zapamiętam ten moment, w którym udało mi się sprawić, że Stelli Lindqvist zabrakło słów.

– Mam wrażenie, że teraz już tylko próbujesz mnie zdenerwować – burczy i odwraca ode mnie wzrok. – Nie wiem, jak inaczej można tak bardzo się mylić.

Uśmiecham się, udając satysfakcję.

– Mam prawo mieć swój gust, Stella.

– A ja mam prawo uważać, że twój gust jest do dupy.

Zaciskam usta najmocniej, jak umiem, żeby się nie uśmiechnąć.

– Cieszę się, że to omówiliśmy – mówię i wskazuję na album, który nadal przytula do piersi. – Dobrze, że nie mam własnej kopii.

I z jakiegoś powodu to działa. Unosi album, jakby go prezentowała, a jej dłonie zaciskają się na okładce. A kiedy jej usta wykrzywia irytacja, a oczy błyszczą od gniewu i chęci nawrócenia mnie na właściwą ścieżkę muzyczną, mam ochotę wyrzucić z siebie okrzyk zwycięstwa.

Ledwo jej słucham.

– W takim razie pozwól, że powiem ci, co teraz zrobisz – syczy.

Nie mogę nacieszyć wzroku jej twarzą, a z tej odległości dostrzegam każdy centymetr. I chcę jej powiedzieć, że właśnie o taką reakcję chodziło mi od początku, że to takiej Stelli pragnę od zawsze.

Pełnej życia. Upajającej.

– Weźmiesz ten album do domu i przesłuchasz go od deski do deski – kontynuuje bezlitośnie. – Potem zrobisz to znowu, a później jeszcze raz i przestaniesz dopiero wtedy, kiedy dotrze do ciebie, jaki jest genialny. A potem przyjdiesz do mnie ponownie i powiesz: „Tak, Stella, miałaś rację, dziękuję”.

Oddycha szybko i wpatruje się we mnie z wyrzutem, jakbym zmusił ją do przebiegnięcia maratonu.

Uśmiech błądzi po moich ustach, ale Stella marszczy brwi, a jej wielkie oczy szukają czegoś w mojej twarzy. I uświadamiam sobie, że kiedy ona monologowała, ja przysunąłem się bliżej. I oddycham nieco szybciej. I patrzę na jej usta.

Zadziera wyzywająco brodę i niemrawo próbuje wcisnąć mi album w dłoń, ale na jej twarzy wciąż widzę chęć do walki.

Unoszę brew.

Drzwi u szczytu schodów otwierają się, a Stella odskakuje ode mnie jak poparzona. Prawie upuszczam płytę.

– Stella? – woła Milo. – Aaron?

– Jesteśmy – odpowiada dziewczyna.

Oddycham głęboko. Staram się nie myśleć o tym, jakie to było złe. Jak głupie, że pozwalałam jej tak załazić mi za skórę, że prowokuję ją bez sensu.

Milo staje przede mną i uśmiecha się dyplomatycznie. Znowu wygląda, jakby pasował do otoczenia. Mój mózg zaczyna już rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale ja jeszcze nie nadążam.

Krzyżuję ręce na piersi i unoszę wyczekująco brwi.

– Nie wiem, czy zniosę kolejną minutę tego przedstawienia – rzucam. – Powiedzcie mi, czemu tu jestem.

Wymieniają nerwowe spojrzenia.

Spoglądam na ich złączone dłonie i kawałki układanki wskakują na swoje miejsca.

Nie.

– Stella i ja zaczęliśmy się spotykać parę tygodni temu...

Patrzę na niego, kiedy mówi. Jego miły uśmiech, wielkie ramiona i wiecznie sympatyczną aurę.

Coś w moich uszach zaczyna dzwonić.

– ...chciałem powiedzieć ci osobiście, bo jesteś...

Nie pomyślałem o Milo. Nie pomyślałem, że mógłby...

– ...i wiem, że między wami bywało różnie, ale mam nadzieję...

Myślałem, że wie.

Dopiero teraz to do mnie dociera, ale zawsze zakładałem, że wie.

– ...że dojdziecie do porozumienia ze względu na mnie i będziecie oboje zachowywać się przyjaźnie. Wszyscy jesteśmy dorośli...

Myślałem, że rozumiał, co to ze mną robi.

– ...Aaron? – mówi Davis, a do mnie dociera, że mówił przez *cały czas*.

Oddycham powoli.

To jest głupie. Zachowuję się głupio i nieprzyjemnie. Zmuszam dzwonienie w uszach, żeby się uspokoiło.

Oni nie wiedzą. Zrobili szopkę z poinformowania mnie o swoim związku, bo myślą, że Stella i ja toczy my ze sobą jakiś pasywno-agresywny konflikt. To zdecydowanie lepsze niż prawda.

Kiwam głową i wiem, że na zewnątrz wyglądam na niewzruszonego, a przynajmniej taką mam nadzieję. Zazwyczaj jestem w tym dobry.

– W porządku – mówię spokojnie. – Możecie przestać dygotać ze strachu – siłę się na kiepski żart.

Milo wypuszcza powietrze z ulgą, co prawie mnie rozluźnia. Gdyby nie fakt, że wszystko, o czym jestem w stanie myśleć, to łóżko za nimi, Stella na Milo, Stella pod Milo, jej przyspieszony oddech i głos, który...

Przestań.

Powiedział, że spotykają się od paru tygodni. Może jeszcze nie zaszło pomiędzy nimi nic poważnego. To wcale nie pomaga, bo nic nie wskazuje, żeby mieli się rozstać, zanim to nastąpi.

To i tak nic nie zmienia *dla mnie*. To i tak nigdy nie mógłbym być ja. Po prostu nie spodziewałem się, że to będzie ktoś tak *blisko* mnie.

Mój brat, w każdym znaczeniu tego słowa, oprócz dosłownego.

– Świetnie. Uff. – Milo szczerzy zęby. – Możemy wykorzystać tę okazję, żeby lepiej się poznać, skoro planujemy spędzać razem więcej czasu.

Najgorsze, co mnie czeka, to oglądanie, jak witają się każdego dnia. Rano. Ręką Milo na jej talii, może pocałunek. Będzie przynosił jej kawę... czy wie, jaką kawę pija Stella? W zasadzie mogę mu powiedzieć.

Czas najwyższy zacząć robić to, co powinienem skutecznie już od lat, czyli jadać w wojskowej stołówce.

Otrząsam się z zamyślenia.

– Jasne – mruczę. – Możemy posłuchać razem Beatlesów.

Stella mruga zaskoczona. Dostrzegam cień uśmiechu.

– Ach! – woła Milo, pstrykając palcami. – Całkiem o tym zapomniałem. Mówiłem, że znajdziemy coś, co macie wspólnego – zwraca się do Stelli. – Aaron *uwielbia* Beatlesów. Jego psy noszą ich imiona.

Dziewczyna patrzy mi w oczy i wygląda na jeszcze bardziej urażoną, niż kiedy obrażałem jej ulubiony album. Mam nadzieję, że mi wygarnie.

– Ile masz psów? – pyta zamiast tego.

Nie mam okazji ani odpowiedzieć, ani wytłumaczyć się z kłamstwa. Moja bransoleta wibruje, a jej ekran się podświetla.

– Co to? – Milo marszczy brwi.

– Kod trzy sześć osiem – mamroczę, przyglądając się komunikatowi. – Cholera. Muszę jechać.

W życiu nie byłem tak wdzięczny za wezwanie, choć trzycyfrowy kod wywołuje u mnie ciarki wzdłuż kręgosłupa. Tylko ten jeden ma trzy cyfry i jeszcze nigdy się nie wyświetlił.

– Co się dzieje? – pyta Milo, kładąc dłoń na moim ramieniu. – Powinniśmy jechać z tobą?

– Nie! – wołam. Za szybko. Mam złe przeczucia. – To tylko ćwiczenia, nawet jeśli bardzo ważne. Ale na wszelki wypadek zostańcie w środku, okej? Pogadamy jutro.

Czujne oczy Stelli krążą po mojej twarzy. Nie mam na to czasu. Wbiegam po schodach. Według procedury muszę jak najszybciej dostać się do jednostki.

Wpadam do samochodu od strony pasażera, ponieważ logika najwyraźniej została w piwnicy Stelli. Gramolę się za kierownicę, odpalam i odjeżdżam z piskiem opon.

Dojeżdżam do jednostki w ciągu pięciu minut. Na szczęście parkuję po odpowiedniej stronie budynku, dzięki czemu tylko kilka kroków dzieli mnie od hangaru.

Po drodze odbieram mój nowy karabin z magazynu. Cholera wie, co się dzieje, a dziesięciostrzałówka, którą noszę przy sobie, może nie wystarczyć.

Jakimś cudem mnóstwo osób zdążyło mnie wyprzedzić. Żołnierze biegną po ogromnym parkingu, każdy szuka przypisanego mu quadcoptera. Wiem, że mój –

numer trzydzieści siedem – stoi w przedostatnim rzędzie, więc przynajmniej to idzie mi szybko.

To tylko ćwiczenia. Nikt nigdy nas nie zaatakował, ponieważ nikt nie jest stuknięty. Dlatego to nie może być nic innego niż ćwiczenia. Nie mam pojęcia, dlaczego nieprzyjemne uczucie krąży mi po ciele.

Znajduję maszynę. Quadcoptery, czy inaczej PP27, zawsze przypominały mi helikoptery, którym ktoś poucinał tylne części. Z podwozia wylaniają się cztery wielkie dysze, z których każda odprowadza po dwa śmigła.

– Aaron! – Aaliyah pojawia się obok mnie. Nie tylko mnie to wezwanie całkowicie zaskoczyło – dziewczyna ma na twarzy odcisnięte ślady poduszki. – Wiesz, co się dzieje?

– Nie mam pojęcia – przyznaję. – Zakładałem ćwiczenia.

Kiwa rzeczowo głową, a czarne loki podskakują wokół jej twarzy.

– Ja też. – Zbliży dłoń do dotykowego czujnika drzwi, a te natychmiast sygnalizują kliknięciem, że możemy wejść do środka.

Ładuję się na tylne siedzenie. Dziękuję niebiosom, że przypisano mi na partnerkę najlepszego pilota w pułku.

Aaliyah siada z przodu i związuje ciasno włosy. Widzę kropelki potu na jej ciemnej skórze i uświadamiam sobie, że może nie jestem jedyną osobą, którą ogarnęła dziwna panika.

Drzwi zamykają się za nami. Siedzimy w pancernym jajku bez okien.

– Pilot: Aaliyah Dixon – mówi głośno dziewczyna. Maszyna wydaje z siebie śpiewną nutę, potwierdzając rozpoznanie głosowe.

– Snajper: Aaron Scott.

Najwyraźniej quadcopter – w przeciwieństwie do mnie – nie uważa, żeby mój głos brzmiał dziwnie, bo również mnie rozpoznaje. Ekran przed Aaliyah włącza się, a na nim natychmiast pojawia się milion informacji.

– Jaki kod? – pytam, zapinając pasy. – Widzę tylko współrzędne.

Dziewczyna milczy.

– Aaliyah?

– Czterdzieści osiem.

Mrugam.

– Mamy strzelać? – sapię. Patrzę z wahaniem na konsolę przede mną. Nigdy jej nie używałem. Nie strzelałem z PP27, nawet na ćwiczeniach. Quadcoptery są nowością.

– Na pewno?

– Bez ostrzeżenia – odpowiada spokojnie. – To na milion procent ćwiczenia, po prostu postawią nam jakieś cele. Nie?

– Mhm. – Zaciskam palce na joysticku. Knykcie mi bieleją.

Wokół słychać warkot śmigieł. Pozostali muszą już startować.

Aaliyah klika guzik na suficie. Szczelne hełmy zjeżdżają na nasze głowy, zasłaniając uszy. Mikrofon w hełmie dziewczyny sprawia, że słyszę jej spokojny oddech.

Włącza się obraz. Nie mamy tu okien, gogle podają nam wirtualne odbicie tego, co dzieje się na zewnątrz. Nie mam pojęcia, jak to działa, ale jestem pewien, że Axel by mi wyjaśnił.

Wznosimy się w powietrze i wylatujemy.

– Jak wysoko lecimy? – pytam.

– Około pięćdziesięciu metrów – odpowiada Aaliyah. – Jeśli mi teraz powiesz, że nagle odkryłeś w sobie lęk wysokości, to sama cię zastrzele.

Parskam śmiechem. Lecimy w stronę granicy strefy. Jesteśmy najbardziej wysunięci na zewnątrz, więc właściwie to lecimy do granicy New Energy.

– Czy oni podali nam współrzędne punktu dystrybucyjnego? – pytam znów.

Prycha, zirytowana. Najwyraźniej nie jest w nastroju na pogaduszki.

– Tak, Aaron. Czy to ważne?

Nie wiem. Jest piątek wieczór, a z tego, co pamiętam, to pociągi zabierają xyron na Zewnątrz prawie codziennie, oprócz środy i niedzieli. Zawsze o dwudziestej wieczorem.

Godziny i dni dostaw towarów do nas nie są tak szczegółowo regulowane, ponieważ żaden pociąg nie przywozi do środka niczego równie cennego, jak to, co wywozi.

– A z jaką prędkością lecimy?

Warczy głucho do słuchawki.

– Dwieście kilometrów na godzinę, a co, chorobę lokomocyjną też masz?!

– Tylko pytam!

Zbliżamy się do punktu dystrybucyjnego. Wielkie hale przeładunkowe stoją blisko siebie, ale nie aż tak blisko, żeby nie było nic widać. Jestem w stanie dostrzec kilkadziesiąt osób przemieszczających się szybko pomiędzy budynkami. Lecimy nieco z tyłu, pozostałe quadcoptery kierują się na wyznaczone miejsce do lądowania.

Pociąg stoi obok największej hali, ale nikogo przy nim nie ma. Drut kolczasty majaczy na horyzoncie i migocze przytłumionym fioletem.

Pełna napięcia cisza w słuchawce podpowiada mi, że Aaliyah też nie wie, jak powinniśmy się zachować.

– To muszą być ćwiczenia, prawda? – pytam znów.

W tym samym momencie widzimy dziewięć osób wbiegających do wieży obserwacyjnej. Następnie inna postać kieruje w tamtą stronę jakieś działo, które trzyma na ramieniu. Niczym w zwolnionym tempie obserwujemy, jak wystrzela z niego pocisk.

Wieża obserwacyjna wybucha.

Płomień strzelają z okien, szkło pęka w drobny mak, a dym idzie w górę.

Coś zmienia się w naszym wirtualnym obrazie, abyśmy lepiej widzieli przez smoliste opary. Biegające po ziemi postacie podświetlają się na zielono. Ledwo to rejestruję.

Właśnie zginęło dziewięć osób.

– Co... – sapię. – Co do cholery...

– Aaron, wykonuj rozkazy – mówi Aaliyah. Jej głos jest stanowczy, drży tylko przy ostatniej sylabie.

– Co?

– Strzelaj!

– W kogo?!

Nie mam pojęcia, kim jest wróg. Nie wiem, jak rozróżnić przeciwników od *naszych*. Nie jestem na to przygotowany, żadne z nas nie jest.

Nikt nie atakuje. Nikt nas nigdy nie atakuje. Znamy *tylko* ćwiczenia.

Lewą ręką ruszam pokrętłem przy hełmie, przypominając sobie, jak robi się zbliżenie, prawą zaciskam na kontrolerze. Usiłuję wybrać na cel sprawcę wybuchu, ale dostrzegam, że leży na ziemi. Ktoś już go zestrzelił – nie wiem, czy z powietrza, czy z ziemi.